Rozbicki Ramotki

RAMOTKI,
i
ANECDOTKI
przez
SOTERA ROZBICKIEGO.



w Lit. Ed. Horn.

Wianki S^to Jańskie
W WARSZAWIE.

Panowie! rzecz się dziwna stała,
Peruka z wiankami pływała.

RAMOTKI

I

ANEGDOTKI

PRZEZ

Sotera Rozbickiego.

WARSZAWA.

W DRUKARNI J. JAWORSKIEGO.

Ulica Krakowskie-Przedmieście Nr. 415.

1859.

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanéj liczby egzemplarzy.

Warszawa dnia 16 (28) Sierpnia 1858 r.

Cenzor, Radca Dworu,
STANISŁAWSKI.

MÓWKA
DO
SASKIÉJ KĘPY.

Tyś to nieraz Saska Kępo, ze smutnych i nudnych chwil pacjenta filozofii wyleczyła, bo spojrzawszy na te zielone łąki, te ślicznie skaczące bydlątka, krówki, byczki, na te śnieżnopióre gąski, na te gaiki igrające z miłym wietrzykiem, na te malownicze domki, a w około nich żyjące kwiatki, złożone z rozmaitych gatunków warszawskich piękności. Tyś mnie powtarzam, Saska Kępo, w roskoszne sprowadzała marzenia i dla tego na pamiątkę, poświęcam ci następującą śpiewkę:

Hej nam Kępo pod Warszawą,
Zieleń się roskosznie,
Spieszcie żywo za zabawą,
Pochulać radośnie.

Są dworeczki, ogródeczki,
Pełne w każde święta,
A warszawskie modniareczki,
Skaczą jak kurczęta.

Karuzele na wyścigi,
Z młodzieżą swawolą,
Romansują choć na migi,
A żydki żempolą.

Na huśtawkach sukieneczki,
Jak skrzydła bujają,
I nie jednéj panieneczki,
Nóżki powab mają.

Śmiechy, krzyki na około,
Tańce w każdym dworku,
Wszyscy bawią się wesoło,
Chociaż pustki w worku.

W oddaleniu pośród błonia,
W kochanego grają,
Bo najmiléj wśród ustronia,
Serca się poznają.

Nie jeden téż tam myśliwy,
Strzelnicę odwiedzi,
Inny znowu jest szczęśliwy,
Gdy przy kuflu siedzi.

Na baliki owe sławne,
Młodzież nocna dąży,
Gdzie koncepta są zabawne,
Rześki szocik krąży.

Hej nam Kępo pod Warszawą,
Zieleń się rozkosznie,
Spieszcie żywo za zabawą,
Pochulać radośnie.

I.

NIESZCZĘŚLIWE WIANKI Ś^to^ JAŃSKIE

CZYLI

PRZYPADKI PANA ŁYSINY.

(Ramotka w $^1/_{10}$ części podobna do prawdy).

Sam nie wiem dla czego z wielką przyjemnością lubię słuchać, gdy mnie kto zacznie opowiadać o Podlasiakach i panach braciach szlachtach. Może dla tego, że mojego nazwiska jest tam kilku posiadaczy, a może że moja genealogia z tamtąt się zaczyna. Dosyć że wojażując po całym kraju piechotką, ze skrzypcami pod pachą, często natrafiałem na dwór częściowego szlachcica. Przyjęto mnie jak należy, a chociaż szczupło i ubogo, ale zawsze byli radzi podróżnemu artyście. Bo téż spytać się wszystkich braciszków klasztornych, gdzie gąsek najwięcéj ukwesto-

wali, to powiedzą na Podlasiu, a gdzie najmiléj przyjęli, to pewno u panów braci szlachty, bo są religianci, pobożni, gościnni, ale niéma reguły bez wyjątku. Panowie bracia zanadto są butni, ambitni i popędliwi, a sąsiadów swoich, za lada bagatelę do sądu pozywają, i kiedy jest posada gdzie na obrońcę w Podlaskie, tam tysiące bywa kandydatów. Pan brat szlachcic jest najgrzeczniéjszy, aby mu dać dobre słowo, a kto potrafi w jego ambicyą trafić oddałby wszystko co posiada. Chociaż równo z chłopem w długiéj siermiędze swój kawałek ziemi orze, ale nigdy razem w karczmie przy wódce się niepobrata. Taka to już w naturze ambicya. Mnie samemu raz się zdarzyło, gdym piechotką wędrował po Podlasiu, a widząc jakiegoś chama przy pługu, rozumiałem że to zwyczajny parobek od chłopa i pytam się: „Człowieku! człowieku! którędy do Łukowa." A on ani się ogląda tylko orze, a choć to było dziesięć kroków od drogi, myślałem z początku że głuchy, ale szczęśliwa mi myśl przyszła, że to może szlachcic, a zatém jeszcze raz się odzywam: „Panie bracie! panie bracie! za-

czekajże!" I woły stanęły. Był to rzeczywiście szlachcic, bo uchylił pięknie czapki i grzecznie się pokłoniwszy odrzekł: „A cóż to jegomość potrzebuje?" „Pytam się o drogę do Łukowa." „Ot ta piérwsza, na prawo koło krzyża potém przez las, a za lasem widać Łuków." I takim sposobem trafiłem szczęśliwie, a inaczéj możebym błądził po drogach, bo to już noc nadchodziła. Otóż jeden z owéj szlachty, uzbierawszy cokolwiek grosza i sprzedawszy swoją fortunkę, wyjechał w Krakowskie i około Proszowic zadzierżawił wieś. Cztery tylko mamy miéjsca w Królestwie, które ziemią obiecaną zowią, to jest: Proszowskie, Sandomierskie, Hrubieszowskie i Kujawy, a że dzierżawa była tania, nasz pan Maciéj z Podlasia, znakomitego dorobił się majątku. Miał on tylko jedynaczkę córkę Karolinę, a jak zwyczaj kazał, dla majętnego obywatela po domowéj edukacyi, potrzeba było wysłać do większego miasta na ukończenie, a że miał swoją cioteczną siostrę w Warszawie, która prowadziła proces o wielki majątek, zatém na mieszkanie tam ją umieścił. Przed wyjazdem pan Maciéj

rozpłakawszy się dawał jéj rady. O moja Karolciu jeszcześ bardzo młoda, bo masz dopiéro rok szesnasty, a wyjeżdżasz do tak wielkiego miasta jak Warszawa, pamiętajże ciotki słuchać, nigdy sama na ulicę nie wychodzić, bo tam ciągle jeżdżą takie panicze, co to na hulanki do Warszawy przybywają, to oni pędzą po ulicach dorożkami jak szaleni, to i ciebie mogliby przejechać. Ucz się przykładnie na pensyi, grywaj na fortepianie i pisuj często do mnie. A siostry listownie upraszał, aby o niéj jak największą miała pamięć i opiekę.

Karolka przyjechała do Warszawy, wykonywała rady ojca i nigdy sama nie wychodziła na ulicę, ale jak tylko wyjrzała oknem, to ją zawsze cóś ciągnęło prosić ciotki żeby z nią poszła na spacer do Saskiego ogrodu.

Ciotka, pani Sknerczyna, prowadziła proces, jak się już rzekło, ale bardzo długi, i pan Łysina adwokat, był jéj obrońcą i wielkim przyjacielem. Pan Łysina, stary kawaler bywał często w jéj domu, z powodu interessu i przyjaźni, a widząc takie miłe i ładne paniątko, oświadczył się o jej rękę. Ciotka

doniosła to ojcu opisując jego piękne prowadzenie, sposób utrzymania i znakomity majątek, bo miał dwie wsie i kilka kamienic. Ojciec się na to zgodził, ale Karolinka zawsze była smutna i mało z panem adwokatem rozmawiała, jednakże ojciec do Warszawy przybył w samą wilią Ś-go Jana, i w tymże dniu miały być zaręczyny, a że to uroczystość wielka w Warszawie, zatém wszyscy wybrali się na wianki.

Jak na wsi utrzymują, że kiedy zając drogę przeleci, to będzie nieszczęście, tak w Warszawie kiedy się spotka babę, księdza lub pogrzeb.

Wszyscy już byli ubrani i mieli wychodzić, a w tém spotykają na schodach braciszka idącego za kwestą. Pan Łysina wrzucił kilka groszy, ale pani ciotka zmartwiła się, przeczuwając jakiś zły przypadek. Niedługo wychodzą na ulicę, aż tu znowu przejść nie mogą, bo jakiś wielki pogrzeb prowadzono i całe trotoary przechodniami zapełnione. Pani Sknerczyna jako osoba staréj daty, wierząca w kabały i dnie feralne, zupełnie była upewnioną, że jakieś nieszczęście koniecznie

nastąpi, zatém przeżegnała się na boku, a nic niemówiąc poszli daléj na wianki. Idą ulicą Miodową i Krakowskiém-Przedmieściem, pan Maciéj pod rękę z siostrą, a pan Łysina z Karolką. W tém gdy przychodzą do rogu ulicy Bednarskiéj panu adwokatowiześliznęła się noga i upadł jak długi na ziemię, a obok niego Karolka.

Taki wypadek zawstydził go niezmiernie, a panna strasznie się rozgniewała i podała odtąd rękę swojéj cioci. Idą daléj nic niemówiąc, tylko pan Łysina zaambarasowany okurzał frak z piasku, a pan Maciéj chcąc cokolwiek załagodzić zaturbowanego pana adwokata obiecał podać skargę do rządu, aby brukarzy do kozy powsadzali, że takie niedogodne chodniki porobili. Nareszcie przyszli na wianki. Spacerują po moście tam i napowrót, a potém stanęli przypatrywać się jak przewoźniki na łódkach chwytają wianki. Pacjent filozofii jako także ciekawy, chciał widziéć ową zabawę i szedł powolnym krokiem, a w tém rozmaite głosy słyszéć się dały.

Znacie pacjenta?

A kto to jest?

To poeta.

To literat.

To wierszokleta.

To filozof.

On te wesołe Bajki wydał. „A kaczki także a jakże, a jakże.“

A znasz romans jego?

Z kiém?

Potém ci powiem.

I zaczynają się śmiać, chichotać, panny mi się z ciekawością przypatrują, eleganci przez szkiełka patrzą, a starzy z powagą myślą, ale co, tego dociec nie mogłem. Zrobiwszy Diogenesa minę, stanąłem przy barjerze i jakby szczęście mieć chciało, miałem do kogo przemówić, bom spotkał znajomego pana Łysinę adwokata.

— A jak się kochany adwokat miewa! rzekłem.

— Dziękuję za pamięć, odrzekł i z szybkością chwycił za kapelusz, chcąc się odkłonić; a że po owym nieszczęśliwym wypadku na ulicy Bednarskiéj, peruka jego przez gwałtowne wstrząśnienie obluzowała się, zatém

jak tylko podniósł kapelusz, natychmiast mu wpadła w wodę, a on chcąc ją łapać upadającą, schylił się i przez nieostrożność upuścił znowu kapelusz i tak został pan adwokat jak księżyc w pełni. Karolka nie widziała jeszcze nigdy takich łysych, a spostrzegłszy go, zlękła się i krzyknęła z przestrachu, chowając się za ojca.

Przewoźniki łapią perukę, myśląc że to wianek i na drążku pokazują publiczności, a na całym moście zrobił się taki śmiech, aż muzykę wojskową zagłuszyli. Pan adwokat zawstydzony do żywego, nie czekając zwrotu peruki ani kapelusza, zawiązał czarną chustką głowę, i razem z panem Maciejem, Sknerczyną i Karolką wsiedli do dorożki, i ruszyli na zjazd do domu. W tym samym czasie na zjeździe pędziła galopem czwórka siwych ogierów, a w powozie jechał jakiś panicz. Powóz się zbliża nadjeżdża, a że dorożkarz, jak każdy zwykle, był dobrze pijany i nie miał przytomności ominąć, zatém ów powóz zawadził o koło, a dorożka jako stara i zniszczona na części się rozsypała i wszyscy na ziemię wypadli, ale ów panicz powozu

pędem błyskawicy wyskoczył, podniósł Karolkę zaniósł do swego kabrioletu i zaczém pan Maciéj, ciotka i adwokat wygramolili się z pod potrzaskanéj dorożki, już ani Karolki, ani powozu z paniczem znaleść nie mogli.

Owym paniczem, był to młody, przystojny i bogaty hrabia, który mieszkał naprzeciwko pani Sknerczyny i zawsze z okien widywał Karolkę, a że ciotka pod żadnym pozorem nikogo w domu swoim z młodzieży nie przyjmowała, oprócz pana adwokata, zatém i on nie mógł się do niéj zbliżyć, ale pisywał piękne liściki, a Karolka odbierała i wzajemnie odpisywała przez żydówkę faktorkę, która handlowała chodzącą tandetą. Wiedział on zawsze kiedy będzie z ciotką w Saskim ogrodzie, wiedział on także o spacerze wiankowym i o zaręczynach z niemiłym jéj adwokatem i postanowił jakiegokolwiek fortelu użyć aby Karolkę mógł posiadać za żonę

Lat kilka upłynęło, jak mimo śledztwa przez ojca i ciotkę, o pobycie Karolki nic się dowiedziéć nie mogli, dopiéro gdym ja był w Proszowicach, w czasie podróży artystystycznéj, opowiadali po mieście, że jakiś zna-

komity hrabia z żoną i dwoma córkami przybyli z Podola do dzierżawcy pana Macieja, który poznawszy swoją córkę i zięcia, z radością ich przyjął, wydał wielki bal i zaprosił całe sąsiedztwo, i ja także przybyłem na tę uroczystość i koncert we dworku z wielkim zadowoleniem zebranych gości dawałem. A jakie to były owego czasu fajerwerki, ognie bengalskie, illuminacye, a jakie potrawy, zwierzyny, sarny, marcepany, wina, likiery, to aż mi się miło robi kiedy sobie wspomnę.

II.

KONCERT NA SKRZYPCACH

W MIEŚCIE RYCZYBYKU.

(Ramotka z podróży artystycznéj przez pac. filoz.)

Przyjdzie kryska na Matyska mówi przysłowie i na mnie ta fatalna koléj przyturkotała, a choć dawniéj jeszcze przyjechawszy ze szkół na wieś, każdy chłop przed paniczem uchylał czapki i nieraz z panią podkomorzyną jeździło się w sąsiedztwo w złoconéj bąbce, jakby w jakiéj huśtawce, aż miło wspomniéć, ale co było a nie jest, nie pisze się w rejestr. Przybywszy do Warszawy miałem ten honor być skrybentem, bom tęgi był pismak i nieźle płacili, miało się przytém i kilka baranich skórek, ale wszystko to ponikło jak kamfora i zostały tylko termometra w dziurawych łokciach i leciuchne kieszenie

pacjenta filozofii. Na częste pytania muszę tu wytłomaczyć co to znaczy pacjent filozofii. Pacient po łacinie znaczy *chory*, a każdy filozof zawsze w łatanych butach chodzi bo goły, zatém to znaczy po polsku *chory na goliznę*.

Kiedy takie przyjaciele mi zostali, co mnie chłodem i głodem częstowali, potrzeba było ruszyć konceptem, aby przecież odczepić się od takiego towarzystwa.

Wielu mnie tak tém głowę kotłowali, że mam wielki talent na skrzypcach, i że gram koncertowo, ale w Warszawie nie umieli się poznać na moich utworach, wyjechałem zatem z koncertem do miasta Ryczybyka.

Pan Burmistrz skoro się dowiedział od Jankla Skurki oberżysty, że artysta z Warszawy przybył dawać koncert w Ryczybyku. sam przyszedł z całą familią oddać mi wizytę,

P. B. Mamy honor witać znakomitego artystę z Warszawy.

Ja. Tak jest panie dobrodzieju.

P. B. Bardzo się z tego cieszymy i dla tego ja chcę panu w tém dopomódz, daję salę i fortepian.

Ja. Uprzejmie dziękuję za łaskawe względy, ale niémam kompanisty do fortepianu.

P. B. Niech się pan o to nie troszczy, moja córka Bonka prześlicznie gra na całą okolicę, to będzie panu akompaniować, albo organista od księdza proboszcza.

Ja. Niewymownie panu dziękuję.

I po długich komplementach i ukłonach, pan Burmistrz zaprosił mnie na obiad. Nad wieczorem gdym powrócił do oberży, całe miasto już dowiedziało się o moim przybyciu, i gdym się właśnie wpatrywał z ciekawością z jaką wesołością gziły się baranki, które sobie przez środek rynku spacerowały z paszy do swoich mieszkań, spotrzegłem bandę żydów na czele rabina, idących do mojego mieszkania.

Rabin. Takich uciechy pan nam przibył zrobić.

Ja. Tak jest, koncert będę dawał.

Rabin. To już cała nasza famulia, i wszyscy przydziemy sluchać. A po czemu to bilet będzie kosztował.

Ja. Po pół rubla, jak na to miasto, od osoby.

Rabin. Aj z psieproseniem pana to za drogo.

Ja. A po czemuż dać możecie?

Rabin. Jak na naszych biednych żydków, to po dytku.

A gdy więcéj dać nie chcieli, musiałem im obiecać że koncert będzie po dytku.

Rabin wyszedł ze swemi towarzyszami, a tu znowu wali się do mnie ze stu obywateli miasta Ryczybyka.

Rzeźnik. Pan z Warszawy?

Ja. Tak jest.

Piekarz. Pan jakiś koncert będzie dawał?

Ja. Tak jest.

Szewc. A co to jest koncert?

Ja. Jest to wielka muzyka na skrzypcach, co będzie duszę i serce przejmowała.

Bednarz. To u nas co niedziela Tomek w karczmie koncertuje.

Ja. Ale panowie nie rozumieją, bo to muzyka inna, np. Karnawał Wenecki, albo Warjacje.

Garncarz. Co to jest karnawał albo warjacye.

Ja. To jest koncertowa muzyka, zresztą panowie usłyszycie.

Krawiec. A czy się to za to płaci?

Ja. A przecież mi panowie darmo także tu nic nie dadzą, tylko muszę płacić, zresztą zobaczycie co będzie kosztować, bo na afiszu przeczytacie.

Kołodziéj. A co to za afisze?

Ja. Oto takie. I dałem im afisz drukowany, a że żaden czytać nie umiał, to poszli z processyą do bakałarza, aby im wytłomaczył co to znaczy.

Niedługo przyszli żydki z cymbałkami, cygany z arfami, którzy dowiedzieli się w drodze o moim przybyciu, rekomendując się jako także artyści, i prosili mnie o bezpłatne bileta. Co się téż stało zadość ich życzeniu.

Na drugi dzień przed wieczorem, a było to lato, nastąpił koncert.

Po środku rynku stał dom stary drewniany bez okien z facjatką, gdzie to pan burmistrz za grzechy wsadzał do kozy, a inaczéj ratusikiem zwany. W całém mieście nie było obszerniejszéj sali jak w oném miejscu. Otóż pan burmistrz po dobréj rozwadze, kazał oczyścić facjatkę, wypuścić z kozy w drodze łaski chłopaka, co z figlów poobrywał

pejsy Janklowi Skurce oberżyście, wstawić fortepian, a tam wystąpiłem an gal ubrany, w towarzystwie organisty od księdza proboszcza. Całe owe miasto składało dytki i dziesiątki na koncert, a pełno małych bachorów żydowskich z wielkiéj uciechy kozły magali przed ratusikiem.

Koncert się zaczął i karnawał wenecki był grany, a organista brzęczał na fortepianie. Wtém daje się słychać pomiędzy publicznością.

— Panie z Warszawy prosiemy o szota!

Ja. A przecież to jest piękniéjsze.

— Ale my tego nie rozumiemy!

Ja. To czekajcież panowie niech skończę jedno.

— Nie chcemy! nie chcemy! tylko szota.

I w środku karnawału musiałem zacząć szota, po szocie zaczęli krzyczéć oberka. I cóż zatém dla pacienta filozofii zostało, jak tylko słuchać rozkazu szanownéj publiczności z miasta Ryczybyka, która przez gwałtowne stukanie obcasami i podrygami ponadłamywała belki i stary ratusik z początku chwiał się, pękał, a nareszcie runął. Dopiero-

to wtenczas był rwetes, tu krzyczą, tu płaczą, tu stękają, i drugi naturalny koncert, trudny do opisania słyszeć można było. Szczęściem nikt życia nie utracił, ale organistę fortepian przywalił, aż kulał kilka niedziel, pan burmistrz wykręcił rękę, Bonka zemdlała, publiczność bałykowała po rynku, a mnie skrzypce pogruchotali. I tak się skończył ów sławny koncert w Ryczybyku, a kto temu nie wierzy, niech tam pojedzie, a przekona się o prawdzie.

III.

PEREGRYNACYA PAŃSTWA KUKASIŃSKICH DO WARSZAWY.

Państwo Kukasińscy, co to dawniéj po drabinie do staréj landary wchodzili, jak nam opowiadał nieboszczyk chirurg filozofii, po latach dwudziestu dzierżawy, dorobili się kilku pięknych folwarków, i mieli w zapasie kilkanaście listów zastawnych Lit. A. A że od urodzenia nieznali większego miasta jak Suwałki, zatém dla oświaty swojéj Helenki, która liczyła rok ośmnasty, i mając nadzieję że jéj wdzięki i baranie skórki zwabią jakiego hrabicza, postanowili odwiedzić Warszawę.

Teraźniejszy powóz państwa Kukasińskich nowiuteńki, z najpierwszéj fabryki sprowadzony, cztery piękne ogiery i bryka nałado-

wana legominą, toczyła się poważnie do Warszawy.

Stanęli w hotelu Angielskim, a że tam zwyczajem uprzywilejowano, każdemu podróżnemu na tablicy dodawać JW. zatem i państwo Kukasińscy Jaśnie Wielmożni zostali.

Z miłą radością z pół godziny czytali po kilka razy, i wpatrywali się w taki piękny tytuł, a potem zawoławszy faktora, aby ich prowadził po znakomitszych miéjscach, dla poznania bliżéj wielkiego świata, wyszli na miasto. Jak na prowincyi tak i w Warszawie przy każdym hotelu jest faktor żydek, ale bez pejsów i w ucywilizowanym ubiorze, zatem i państwo Kukasińscy mieli na swe rozkazy Abramka, który przyjąwszy rolę lokaja, oprowadzał ich po różnych miejscach.

Było to rano w dzień lipcowy, kiedy państwo Kukasińscy przybyli naprzód do ogrodu Krasińskich na wody mineralne. Bardzo im się podobało urządzenie tego ogródka, muzyka, towarzystwo, zatem z przyjemnością spacerowali, ale Helenka spostrzegłszy śliczne kwiateczki, cokolwiek się od rodziców oddaliła i weszła pomiędzy kląby, a myśląc że jéj

wszystko wolno, zaczęła sobie zrywać bukiet. Wtem szwajcar co przy bramie porządku pilnuje, rozumiejąc że to jaka taka panienka wypychał ją z ogrodu. Rodzice usłyszawszy krzyk swojéj córki lecą na pomoc.

— A chamie, a gałganie, a chultaju! jak ty śmiesz naszą córkę wypychać z ogrodu.

— Kiedy kwiatki zrywała.

— My cały ten ogród zapłaciemy, nietylko te kilka kwiatków.

— Kiedy ja mam taki rozkaz.

— A co mnie tam z twoim rozkazem. Poczekajno brysiu, pójdę ja na policyą to ci pokażą, jak mogłeś pannie Kukasińskiéj, naszéj córce tyle wstydu narobić, i pieniąc się od złości wyszedł z ogrodu wraz z żoną i Helenką, i ledwo Abramek potrafił im wytłomaczyć, że to w Warszawie niewolno zrywać kwiatków w cudzym ogrodzie, a załagodziwszy ich konfuzyą, zaprowadził do Saskiego ogrodu.

Tam sobie spacerują po wielkich alejach, oglądają nimfy mitologiczne, fontanny, i przychodzą nareszcie do drugiego zakładu wód mineralnych, a że kwiatki były w oranżeryi za szkłem, zatem Helenka już nie mogła wian-

ka zrywać, tylko z rodzicami usiadła na ławce pod wystawą, przypatrywać się przechodzącym osobom. Dwóch młodzików dosyć porządnie ubranych, którym uśmiech błazeński nigdy z ust niezejdzie, a mają za przyjemność drwinkowania z każdego, i gdyby koło nich sam pacjent filozfii przeszedł, to muszą mu przypomnieć: A kaczki także?... A jakże a jakże; usiedli obok państwa Kukasińskich. Zaraz się do nich owi galanci brukowi przyczepili, a mrucząc pod nosem rozmaite koncepta, w końcu rzekł jeden do drugiego, tak że panna Helena dobrze usłyszała:—A wiesz co Alfredzie, to jakaś nieszpetna parafianka, ale cokolwiek garbata.

Tak się za to panna Kukasińska rozgniewała, że zaraz z rodzicami wyszła z ogrodu do domu.

Tam dopiero usłużny Abramek miał dosyć krętaniny, to po cyrulika, to do apteki, bo Helenka dostała spazmów, i cały dzień chorowała.

Na drugi dzień poszli do teatru, i zajęli lożę pierwszego piętra. Była wtenczas grana jakaś opera, a że pani Kukasińska nigdzie się ruszyć nie mogła bez swego ulubionego pie-

ska azorka, zatem owinąwszy w chusteczkę, wzięła go do teatru. Z początku azorek leżąc na nogach sprawował się bardzo grzecznie, ale późniéj w czasie najpiękniejszego duetu, zaczął niemiłosiernie skowyczeć, a cała publiczność zwróciła oczy na nowego śpiewaka, i policja czemprędzéj starała się usunąć tego niepotrzebnego gościa, jednakże państwo Kukasińscy zapobiegając jakiemu nieszczęściu ulubionego szpica, tembardziéj że im się na drzymkę zbierało, bo nie umieli ocenić wyższego spiewu, w kwaśnym humorze powrócili do domu.

Na trzeci dzień poszli do hecy Renza. Tam im się bardzo podobały piękne uczone konie, skoki, tańce, i wpatrywali się z wielką przyjemnością. Obok w sąsiedniéj loży, siedział jakiś przystojny młodzieniec pięknie ubrany i z brylantowym pierścieniem na palcu. Pani Kukasińska rozumiejąc że to jaki bogaty hrabia, z ukontentowaniem w duszy, że jéj się trafiła gratka zapoznania swojéj córki, rozmawiała z nim długo i opowiadała o swoim znakomitym majątku, wymieniała wojewodów, kasztelanów i innych dygnitarzy da-

wnych, jako familjantka z ich prostéj linii, a nareszcie zapytała się jego wzajemnie.

— Niechże wiem z których stron pan dobrodziéj?

— Ja jestem z Warszawy.

— A czy kawaler?

— Tak jest pani dobrodziejko.

— Zapewne pan ma gdzie na prowincyi swoje majątki?

— Nie pani dobrodziejko, ja jestem aptekarzem.

Na te słowa skrzywiła się ironicznie pani Kukasińska, a potem zaczęła nosem ruszać i wąchać, i zawołała dosyć głośno.

— Mężulku! pfe!

— A co ci to jest kochanie.

— Tak mi pigułki śmierdzą, nie mogę wytrzymać.

— Kiedy ja nic nie czuję.

— Ten pan co siedzi koło nas to jest aptekarz, pójdźmy ztąd mężulku, bo dostanę spazmów.

I pani Kukasińska ciągnąc za połę swego męża, i nieoglądając się na swojego sąsiada,

bez pożegnania wyszła z hecy przed skończeniem.

Na czwarty dzień dowiedzieli się o Szwajcarskiéj dolinie i o pięknéj muzyce Bilzego, a że to była piękna pogoda poszli piechotką. Właśnie grali jakąś wielką symfonją w salonie, a pani Kukasińska bardzo była ciekawa bliżéj przypatrzyć się tym sławnym artystom, będąc zaś dosyć nizka, i z powodu wielkiego natłoku niemogąc dobrze widzieć, zatém niewiele myśląc wlazła na stół. Przy tym stoliku kilku paniczów co poncz pili, zapewnie przypadkiem pchnęli, a pani Kukasińska buch na ziemię. Szklanki się potłukły, a cały poncz rozlał się po materjalnéj sukni, ale gdy się massa osób zeszła przypatrywać się, a wielu było takich niedyskretnych, że się śmiało z jéj przypadku, pani Kukasińska rozgniewana do żywego nieczekając długo, kiwnęła na męża i Helenkę, i wszyscy razem wyszli, z postanowieniem na drugi dzień opuścić Warszawę na zawsze.

Przybywszy do domu rzekła do męża.

— Ach jakieżto grubiany są w Warszawie.

— Ale moja żonko, jakże téż możną było

w publicznem miejscu na stół włazić, i jeszcze tam gdzie poncz pili.

— Ej co mnie tam bańdurzysz i ty stary gaduło, lepiéj mi przeczytaj kurjerka.

Z kurjerka dowiedzieli się, że mieszka pacient filozofii, co to takie wesołe bajki pisuje, i że ma swoją kawiarnię przy ulicy Bielańskiéj w Kossowskich pałacu, zatem przed wyjazdem chcieli go poznać i wstąpić na kawę.

Pacjent filozofii właśnie kleił sobie jakąś ramotkę, kiedy kareta na podwórze zajechała, i wchodzą jacyś państwo z córeczką.

— Czy można kawy?

— Można.

— Czy to pan jest co to takie wesołe bajki pisuje.

— Ja jestem.

— Bośmy chcieli pana poznać.

— Bardzo się z tego cieszę.

— Czy to pan szlachcic?

— A dla czego się pani pyta?

— Bo i my szlachta z Augustowskiego nazywamy się Kukasińscy.

— Bardzo mnie przyjemnie o tém jest wiedzieć.

— Czy to pański fortepian?

— Tak jest.

— Sprobujno Helenko jaki téż on głos ma. Helenka zagrała parę fałszywych akordów, a pani Kukasińska, chcąc ocalić swoją córkę, że grać umié, tylko na lepszym fortepianie, rzekła:

— A pfe w pańskiém fortepianie niéma organków, tak jak u nas w Gapiejowicach, bo jak się nogą przyciśnie, to słychać taki głos jak w kościele.

Potém poszli do drugiego pokoju, gdzie stał billard.

— A mój panie rzekła pani Kukasińska, cóż to znowu za instrument, to takiego niémamy, czy to przyjemny głos wydaje?

— Nie pani, to się tak grywa, i pokazałem jéj bile, a ona téż chcąc sprobować trzasnęła kijem, i dotąd dziura w suknie bilardowym jest pamiątką po pani Kukasińskiéj.

Potém oglądali piękne obrazy szkoły Włoskiéj Alfiery, sławne lustro Twardowskiego jak podanie niesie, a nakoniec podziękowawszy za gościnne przyjęcie, uprzejmie prosili abym

ich kiedy odwiedził w Gapiejowicach i wyjechali w swoje strony.

Teraz jeden z przyjaciół pacjenta filozofii doniósł listownie, że państwo Kukasińscy nie chcieli za nikogo wydać swojéj córki jak tylko za hrabiego, a gdy długo się nie zjawiał nikt z takim tytułem, to jakiś organista wpadł na koncept pożyczył powozu i koni, kazał się najętym ludziom tytułować hrabią i państwo Kukasińscy uwierzywszy, wydali córkę za gołego dusimiecha, jak się późniéj pokazało.

IV.

SWATY

PANA PINKUSA W WARSZAWIE.

W Warszawie gdzie przeszło 150,000 narodu krąży w granicach szerokich i wysokich murów, nie jest podobieństwem, aby wszyscy sobie nawzajem znani być mogli, i nie raz tak się zdarza, że nawet w jednéj kamienicy, mieszkańcy pierwszego piętra, nie znają swych sąsiadów na parterze mieszkających, nic zatém dziwnego, że młodzież warszawska, lubo ze szczeremi chęciami do żeniaczki, nie może znaleść do odpowiedniego gustu stosownéj znajomości i rekomendacji, i dla tego wielu kawalerów jak i panien na wydaniu, w długim szeregu lat, doczekują się grochowego wianka.

Wprawdzie w Paryżu jak i w innych znaczniejszych miastach, są pod opieką wyrachowanych finansistów kantory stręczeń małżeństw, jednak w Warszawie dotąd podobnego nie otworzono. Kantor stręczeń małżeństw w Paryżu, zajmuje obszerny gmach, gdzie oprócz kancellaryi, w któréj kawalerowie jak i panny na wydaniu zapisują swe imiona, nazwiska, lata, opis kształtu figury, twarzy, majątku, etc., są jeszcze piękne i gustowne salony. Tam co tydzień w dzień sobotni, odbywają się zgromadzenia panien z ciotkami lub matkami i kawalerów rozmaitego stanu i wieku, gdzie w czasie zabawy rozmawiają i zaznajamiają się, bez najmniejszéj żenady; a jeśli się jaka para sobie upodoba, udają się do kantoru, i zasięgają szczegółowych wiadomości; dalsze zaś swaty odbywa dyrektor zakładu, rekomendując tak jednéj jak i drugiéj stronie tak podchlebnie, pięknie, ponętnie a to sub sekreto komu wypadnie, że nie długo a najwięcéj w trzy tygodnie po poznaniu małżeństwo zostaje skojarzone.

W kantorze tym płaci się za wstępne 5 franków, a za wnijście na wieczorne zgroma-

dzenie 3 franki od każdéj osoby, wrazie zaś ukończenia swatów, otrzymuje dyrektor zakładu po 2% procentu od majątku panny lub kawalera, a jeśli oboje są w biedném położeniu, to już dyrektor nie zajmuje się swatami, lecz własnéj ich woli zostawia.

W Warszawie zaś żyją jeszcze poczciwi żydkowie, którzy poświęcając się z całym zapałem swéj wymowy, są ostatnią nadzieją zakłopotanych istot. Oni to dają swoje protekcye, opinie, swaty i starają się być sprężynami do skojarzenia małżeństwa.

Przy ulicy Franciszkańskiéj żył nieoszacowany pan Pinkus, człowiek z rozumem, znał wiele osób, umiał się wkręcić w każden kątek i prowadził handel pomiędzy kawalerami do wzięcia i pannami na wydaniu.

Dobrze mu jakoś z tém było, bo pan Pinkus, miał znaczne obrywki, i nim jeszcze okazała broda rozkwitła na jego twarzyczce, już uzbierał szeroki i długi worek samych dusiów holenderskich.

Pan Pinkus pomiędzy innemi, znał panienkę bez rodziców, dziedziczkę pięknéj kamienicy i znacznego kapitału w banku ulokowa-

nego, która w sekrecie i do ucha zwierzyła się, iżby nie wzgardziła zalotami, ładnego, młodego, choćby i nie bogatego adonisa.

Nasz Pinkusek mając oléj w głowie, poznał wartość swojego poselstwa i tajemnicy, i zapewnił wychodząc skłoniwszy się niziuteńko, że niedługo zadość uczyni podobnemu żądaniu.

Panience téj było na imie Urszula, miała wiosen najwięcéj 39, oczki bure, nosek karmazynowy, kibić jak tęgi snopek, nóżki płaściutkie, szerokie, a na jednéj cokolwiek wyżéj stąpała.

Pan Pinkus zaszedł pod strych na Stare-Miasto. Mieszkał tam dorostek pod wąsem, z dziarską miną, kolorowany z natury, prościutki jak trzcina, ale kapotka podszarzana i szarawary nie tęgie, świadczyły że chłodno i głodno.

Z pocieszającą minką, a uśmiechem cóś znaczącym, zbliża się uczciwy Pinkusek do młodego pisarka, bo był dependentem adwokata, a który podobnież miał intencyą żenienia się, ale bogato.

— A co panie Pinkus?

— Jest ponie.

— Ale jaka?

— Jaka? juz ja co powim, to musi być ganc git wyśmienite.

— Ale przecież? bogata?

— Oj bogate ponie Wojciechu! bogate! ma wielki dom na Nowym-Świeciech i w bankie, dodał Pinkusek cichuteńko, i w bankie gotówki kilkadziesiąt tysząców.

— A ładna?

— Oj ponie Wojciechu! ponie Wojciechu! juzby pon Wojciech, chciałby to i to, tsieba się jedném pociesyć.

— A przecież?

— Nicego jéj ponie Wojciechu, ocki ma ślicne, zgrabna, nie jest bardzo podstarżała, ale jaka gospodyni!... rżądna.

— Wszystko to dobrze, ale jakże się zaznajomić?

— O to niech się pon Wojciech nie pyto, boło juz ja bierzie na siebie, co to wsistko będzie ganc git wyśmienite. —Tylko.... wiele pon Wojciech myśli ofiarować procenciech?

— Dam pięć od sta.

— Aj waj! za moje chodzenie więcéj warto.

— Nie mogę więcéj mój Pinkusku.

— No niech będzie dziesięć?

— Ani pół już więcéj niedam jak 6 od sta.

— No... no.., zgoda, wsiak pon Wojciech wi, co jo ucciwe człowiek, niech pon napise rewers. Oto wiciąg hipotecny siacunku kamienicy na sto tysząców złotych i wiciąg z banku na zlozoną summę zlotych 50,000 tysząców.

I pan Wojciech nienamyślając się długo siadł, napisał i podpisał wexel na złotych 9,000 jako dług prosty, sposobem pożyczki zaciągniętéj, niewymieniając o wspomnionych wyżéj układach, bowiem Pinkusek tak sobie życzył, a że był dosyć cnotliwy i nie chciał go oszukiwać, gdyż uważał że niéma jeszcze kogo, dał mu ze swéj strony zapewnienie, że wrazie nie dojścia projektowanego małżeństwa, zostaje obowiązany panu Wojciechowi wrócić rewers, bez żadnych wybiegów prawnych.

— Więc teraz panie Pinkusie, jakże mam działać.

— Teraz niech mnie pon uwozo. Potsieba coby pon Wojciech bul w niedzielę u kościola ś.

Ksirża, o godziniech 10 rano, a tam na prawéj ręki, w trzeciéj lawki, pierwsia na bziegu, będzie siedzić w róziowych kapielus, ciarnym sial, zakryta panna Ursiula... ta... ta sama com panu mówil, co go take bogate.

— Ale jakże się zaznajomić?

— Sluchaj no mnie pon psiecie. Jak pon tam stanie, potsieba tsi razy tupnąć nogiem o posadzki, to ona będzie się lękać, i wyrżuci chusteczkiem białem z literami U. J. wtencias niech go pon łapie, a jak go pon Wojciech będzie w ręku tsimol, niech się pon Wojciech skloni i psieprosi, a potém niech goda, zie się gdzieś znalo i cy pani ta sama co go to mo kamienice na Nowym-Świeciech, a jak ona odpowi zie ta, to tsieba się znowu sklonić i godać, zie się go dobzie znalo tego kamienica, i zie pon Wojciech suko mieskania, to ona zaraz powi, zie tam są pokoiki do psinajęcia, a jak powi, to pon Wojciech będzie prosil zieby pokazala, a potem pon Wojciech będzie ciekol, az wyjdzie z tego kościol.

— I cóż potem?

— No? i cóż? jak wyjdzie z tego kościol, to tsieba panu Wojciechowi godać i godać,

a jak do domu psidzie, to ona juz będzie prosila odwidzić części, a ja jak tam pside, to jegomości będę chwalić i godać, co to go za pon, co to go ma za majątek, a jaki urżędnik! no, no, niech się tylko pon Wojciech na mnie spuści, a będzie wsistko ganc git wiśmienite.

Pan Wojciech posłał sam siebie po słodką wódeczkę, poczęstował usłużnego Pinkusa i przyrzekł dopełnić jego radę, potém szanowny swat niezwlekając czasu, poszedł na ulicę Nowy-Świat, do pięknéj gustownéj kamienicy panny Urszuli.

Tam na pierwszem piętrze, zastał w pokoju sypialnym samą dziedziczkę siedzącą na wygodnym fatersztulu i czytającą jakiś romans nowoczesny, a w innym panny służące zmiatające kurz z bogatych luster, obrazów i froterowanych posadzek.

— No i cóż panie Pinkusku?

— Wsistko dobzie jaśnie pani, ale tsieba by kazać lepiéj psimknąć te drzwi.

— Józefino! zamknij tam podwoje, bo nieznośny kurz tu dochodzi.

Rozkaz spełniono, a panna Urszula zapytała:

— No i jakże?

— Dobzie idzie jaśnie pani, mam chlopca ganc git psistojnego, ladny jak kwiatek, rumiany jak cybulka, prosty jak topola, mlody jak konik, a psitem ma bogatych stryjów, wujów, ciotek, a jaki urżędnik!

— A czémże jest?

— Patsi na mecenasa.

— Na mecenasa! a czy już wié jak się ma zemną zapoznać?

— Wsistko do słowa powiedziałem, co jaśnie pani kazala, no? a jakże jaśnie pani?

— Niech go pierwéj zobaczę, może mi się niespodoba, jeśli zaś na piérwszy bal będzie do mnie proszony, wówczas dostaniesz odemnie pewną odpowiedź i rewers na przyrzeczone złp. 10,000.

— Bardzo dobrze jaśnie pani!

— A teraz idź i staraj się go uprzedzić jak najlepiéj względem mojéj osoby.

Pan Pinkus pogładził bródki, obkręcił krymkę, ukłonił się niziuteńko i wyszedł.

Trzy tygodnie zaledwie minęło, a było to

w czasie karnawału, widzimy pana Wojciecha nie do poznania zmienionego, już nie na Starém-Mieście pod strychem mieszkającego, ale na ulicy Senatorskiéj, w gustownie umeblowanych pokojach, wpatrującego się z słodką minką w nowiuteńki garnitur ubiorów, a obok niego Pinkusa, liczącego wydatki i wpisującego w regestr długu pana Wojciecha.

— O któréjże godzina ma być bal panie Wojciechu?

— Zapewnie zacznie się jak zwykle o wpół do 10-tej.

— Ny a jakze? wsiak ganc git panna Ursiula.

— Ależ mój Pinkusku gdzież ty masz oczy.

— Psiecie ja ponu mówilem, ze nie mozna wsistko razem, ale ci bogata panie Wojciechu?

— To téż to właśnie mnie pociąga i dla tego się żenić będę, tylko kiedy pan Pinkus radzi się oświadczyć?

— To tsieba zostawić mojemu rozumowi, jo juz powim kiedy będzie mozna najlepi,

psiecie juz pon Wojciech może być pewnym, kiedy ja mojemi pinię̨dzmi wikładam, a teraz za dwa tuziurki, dwa rajtfraki, siopy, nalezi mi się........

— No dobrze, dobrze, a wieleżeś tam naliczył?

— Tsi tysząców pięcset złotych, oprócz procentów, bo ja psiecie musię co zarobić.

— No no dobrze dodaję jeszczę złp. 500 ot już jest rewers.

Uczciwy Pinkusek żwawo go zawinął schował do starego wypłowiałego pugilaresu i potulnie kłaniając się, pożegnał pana dependenta.

Niedługo godzina wpół do dziesiątéj uderzyła, a w tym czasie młody pisarz wyelegantowany jak z pudełka, zakręcił czarnego wąsika, pomyślał chwilkę, zarzucił na siebie szopy i ruszył na bal do panny Urszuli.

Wprawdzie na tym wieczorze żerandole i lampy oświecały wybornie umeblowane pokoje, ale oprócz kilku osób z familii i teraz przybyłego pana Wojciecha, nikogo więcéj nie było.

Panna Urszula pochodziła z bardzo niskiéj

familii, a że majątek wyniósł jéj rodziców do pewnego znaczenia, przeto dawne znajomości zapomniała, a do wyższego towarzystwa niemając przystępu, żyła sama jedynie i dla tego widzimy na téj zabawie, którą ona balem nazwała, same osoby do rodziny należące.

Takowa uczta dla tego była umówiona, aby krewniaki panny Urszuli, zapoznali także przyszłego jéj męża.

I po kilku tańcach na sali godowéj, gdzie sama gospodyni popisywała się ze swym talentem na pantalionie, a jéj amant latał w kółko zadyszany z poważnemi ciociami, wujenkami, pani Ignacowa stryjenka, osoba z szanownemi laty, która już czterech swoich mężów rozpoznała jak najlepiéj charaktery, mając dosyć praktyki w tym przedmiocie, jakotéż głośna z wymowy na całą okolicę Żelaznéj bramy; zamierzyła przysłużyć się całéj familii i dać swoje stanowcze zdanie, o kawalerze swéj kuzynki.

— Czy pan, rzekła ona, tu w Warszawie mieszka?

— Tak jest pani dobrodziéjko w Warszawie.

— A zapewnie przy rodzicach ?

— Nie, już od lat kilku umarli.

— Czy oboje?

— Oboje pani dobrodziéjko.

— Ach! rzekła z westchnieniem, jaka szkoda.

— To mnie téż właśnie martwi.

— Zapewnie pan jesteś na urzędowaniu ?

— Tak pani dobrodziéjko, poświęciłem się sądownictwu.

— Zapewnie pan płatny ?

— O już pani dobrodziéjko.

— Zapewnie z parę tysięcy rocznie ?

— Mogę mieć do kilku tysięcy.

— Do kilku tysięcy!

— Tak jest pani dobrodziéjko.

Pani Ignacowa w tém miejscu zastanowiła się chwilkę, a gdy jéj do gustu trafiły ciągłe tytuły „pani Dobrodziéjko“ których ona może nigdy w życiu nie słyszała, odwróciła się do obok siedzącéj pani Maciejowéj, i szepnęła jéj na ucho: „To jakiś ugrzeczniony człowiek, wart jest naszéj Urszuli,” a późniéj uło-

żywszy minkę wiele obiecującą, zapytała pana Wojciecha.

— Zapewne pan doświadczył, że stan kawalerski jest bardzo przykry, sam tylko jeden, zawsze się nudzić potrzeba.

— O tak pani dobrodziéjko.

— Ja myślę że żonaty daleko przyjemniéj czas pędzi.

— Lubo jeszcze nie doświadczałem tych słodyczy, jednakże potwierdzam zdanie pani dobrodziéjki.

Pan Wojciech umiał w słabą stronę trafić, bowiem coraz milsze uśmiechy na okrągluchną twarzyczkę pani Ignacowéj występowały, która znowu się zwróciła ku pani Maciejowéj i cicho szepnęła: O! to chłopiec do rzeczy, w istocie bardzo uprzejmy, mąż będzie z niego bardzo dobry, a późniéj ciągnęłą daléj rozmowę:

— A daleko pan mieszka?

— Przy ulicy Senatorskiéj, pani dobrodziéjko.

— Jakże się podoba panu dzisiejsza zabawa?

— Bardzo jestem zadowolniony, a oso-

bliwie, żem poznał tak miłe dla mnie towarzystwo.

— Czy pan dosyć ma znajomych?

— O! i wiele, a osobliwie na prowincyi.

— Więc pan zapewne ze wsi?

— Tak jest pani dobrodziéjko.

— A z których stron?

— Z Podlasia pani dobrodziéjko.

— Zapewne pan tam ma familją?

— A tak. Mój ojciec miał swoje dobra, a po śmierci jego o pozostałą sukcessyą ciągle się processuję; jednakże na Podlasiu mam jeszcze stryja, wdowca bezdzietnego, który połączywszy mój majątek do swego, płaci mi dzierżawy tylko 10000 złp. rocznie, kiedy powinien przysyłać po 20000 złp.

— Więc pan zapewnie ze szlachty?

— Tak pani dobrodziéjko.

— Zapewne wylegitymowany?

— W zeszłym roku otrzymałem patent.

Chociaż kłamał przewybornie, bo był tylko synem bakałarza z Sokołowa, a jego stryjowie i wujowie trudnili się ekonomiką po dworach i to kuséj szlachty; jednakże pani Ignacowa, ponieważ umiał się jéj spodobać, uwie-

rzywszy, za dobrą monetę przyjęła i takową w właściwéj cenie użyczała całéj familii, dodając swoje pochlebne wnioski, tak, że same krewniaki, wnosiły jeszcze silną protekcyę do panny Urszuli za panem dependentem.

Na drugi dzień po wspomnionym balu, panna Urszula jak najraniéj posłała po nieoszacowanego swata, który niedługo zjawił się.

— Masz dać wiadomość panu Wojciechowi, rzekła ona, że po zdecydowaniu się mojém, jak i całéj familii, pan Wojciech może się oświadczyć, a nieodmówną otrzyma odpowiedź.

— Dobzie jaśnie pani. A kiedy jaśnie pani pon Wojciech mozie chodzić na kościol dać na zapowiedź.

— Może zaraz na drugi dzień po oświadczeniu.

— Unizony śluga jaśnie pani, odrzekł pan Pinkus, sięgając do krymki i wolno w tył cofając się, ale po chwili powrócił i cokolwiek ciszéj a bojaźliwie zaczął mówić: „Potseba jesce jaśnie pani z pare tysiąców na ślubną garderobę, pierścionki ślubne i inne rzeczy dla pona Wojciecha.

— Wszak dałam już wasanu 4000 złp. na podobne przedmiota, to powinno wystarczyć.

— Psiecie jaśnie pani juz wi, ze jo na jego meble, garderobe i inne sprawunki wsistko juz widałem, nawet swoich duzio doloziłem.

Niedługo po poznaniu się wzajemném panny Urszuli z przystojnym dependentem, szanowny swat objawił rzetelny stan i fundusze utrzymania teraźniejszego, a że bogatéj dziedziczce wpadł w oko i umiał się spodobać, taż pod zasłoną Pinkusa dostarczała pieniędzy na wszelkie potrzeby, jak z powyższéj rozmowy pojąć można; jednakże o tém swéj familii ani nikomu nie wspominała, bowiem to zostawało tajemnicą pomiędzy nią a Pinkusem.

— Wieleż ci jeszcze potrzeba ?

— Ze dwóch tysząców.

— Oto są dwa listy zastawne po tysiąc złotych.

— A moja objetnice jaśnie pani ?

— Teraz ci jeszcze nie zapłacę, bo jeszcze nie po ślubie, ale skoro interes skończymy to co innego, tymczasem masz rewers na 10,000 złotych.

Pan Pinkus pokorniutko, potulnie, chyłkiem kłaniał się, zdejmując krymkę do saméj ziemi, a zapewniwszy na swoją uczciwość, że niezawodnie ten przedmiot najpomyślniéj uskuteczni, pospieszył do pana Wojciecha.

Pan Wojciech na drugi dzień, oddał wizytę pannie Urszuli, złożył jéj pierścionki ślubne, a w tydzień za indultem, w tymże kościele gdzie się po raz pierwszy zapoznali, wyszła zapowiedź i ślub okazały odprawiono.

Małżeństwo to, jak wieści sekretne chodzą dosyć zgodnie z sobą żyje, ona go kocha szalenie, a on dla kruszcu złotego także szanować ją musi.

Koledzy pana Wojciecha widząc nieraz swego dawnego towarzysza w takich dostatkach, bardzo mu zazdroszczą.

Pan Pinkus odebrał najrzetelniéj swoją obiecankę, a oprócz tego okrył się sławą wy. bornego swata i wielu kandydatów do tego stanu opanowało jego pomieszkanie, niedając mu nawet spokojnego odpoczynku, a co w jego możności wszystkim zadość czyni.

ANEGDOTKI.

I.

Siedział stary pan Gracjan kancelista w Saskim ogrodzie, pod kasztanem i bardzo był zmartwiony, bo pensyi przed świętami wypłacić nie mieli, a mając żonę i dzieci, przemyśliwał gdzieby można pożyczyć pieniędzy. Wtém nadchodzi jego kolega, młody 20-letni Adaś, z wesołą minką i rzecze do niego:

— Widzisz Gracusiu pensya idzie.

Gr. Bogu dzięki, a kiedy?

A. Teraz.

Gr. Jakto teraz już późno, kassa zamknięta.

A. A patrzajże tam na prawo, a jakie ładne panienki.

Gracyan oglądając się.

— Kiedy to u ciebie zawsze pustki w głowie,

ja myślałem, że będą płacić pensyą przed świętami.

II.

W małém miasteczku na Podlasiu, stał pan burmistrz z pisarzem i policyantem przed ratuszem. W tém przychodzi podróżny rzemieślnik pokazując paszport. Pan burmistrz nieoglądając go, pyta się:

— A zkąd ty jesteś?

On. Ja jestem z Łodzi.

P. B. Panie pisarzu aresztować, sam się przyznał, że jest złodziéj.

On. Ale panie prezydencie!

P. B. Niéma ale. Policyant zaprowadź go do kozy. I policyant chłop jak dąb, wziął go za kołnierz i zamknął w areszcie.

Dopiéro po kilku godzinach, gdy się pan pisarz doczytał z paszportu, że jest w gubernii Warszawskiéj miasto Łódź i on ztamtąd pochodzi, wytłomaczył panu burmistrzowi omyłkę, a podróżny rzemieślnik swobodnie daléj wędrował.

III.

Jakiś przyjaciel domu, zapewne żartem zawiadomił listownie państwa Marcinów, że ich los na loteryi wygrał 50,000 rubli, a oni uwierzywszy serdecznie się ucieszyli, ale dla lepszego przekonania posłali sługę do kantoru z numerem.

W tym czasie mąż się odzywa do żony.

— I cóż z pieniędzmi teraz zrobiemy?

Żona. Jabym chciała kupić sobie wieś, naprzykład w Krakowskiém, w piękném poetycznem położeniu, pomiędzy górami, strumykami z gotyckim pałacem, i tam byśmy żyli jak w raju.

M. Ja zaś wolałbym kupić jaką kamienicę w Warszawie, mieć pewny i odpowiedni procent, bywać czasem w teatrze, na hecach, w Szwajcarskiéj dolinie, a na wsi najprzód że się na gospodarstwie nie znam, a powtóre ciągle w góry, strumyki, lasy, wpatrywać się to się uprzykrzy.

Ż. Kiedy ja chcę abyś kupił wieś, bo mnie się tak podoba.

M. A mnie się niepodoba. Tyś zawsze uparta jak kozieł.

Ż. Kozieł bywa z rogami, a ja ich niémam.

M. Zresztą na wsi trzeba być dobrą gospodynią, pilnować kurcząt, gęsi, kaczek, rano wstawać, a ty dopiéro około południa przebudzasz się.

Ż. Cóż ty myślisz mnie na wsi na sługę obrócić? A to mi piękny mąż, ja z tobą żyć nie chcę, powrócę do mamy a z tobą rozwód wezmę!

M. Rób co ci się podoba.

Żona ubierając się. Więc nie kupisz wioski jakem ci mówiła?

M. Naturalnie że nie kupię.

Ż. Kiedy nie chcesz to ja zabiorę wszystkie pieniądze. I pani Marcinowa łap za bilet loteryjny z toaletki, a że była już ubrana wyszła na schody. Mąż za nią w pogoń.

M. Żonko! żonko! czekajże już ci kupię.

Ż. Aha teraz ja ci nie wierzę, bo ja tak zrobię jak mi się podoba.

M. Oddasz bilet, czy nie?

Ż. Nie oddam! nie oddam i zaczęła uciekać. Mąż z passyą lecąc, upadł ze schodów i wy-

kręcił nogę, a żona zaczepiła ręką o gwóźdź i skaleczyła się. Sługa na to wchodzi i popowiada, że o jeden tylko numer wyżéj los na 50,000 rubli wyszedł, a państwo nawet stawki nie wygrali.

Państwo Marcinowie zawstydzeni, powrócili spokojnie do domu, nic przed sługą niemówiąc z czego mieli takie wypadki, i odtąd nigdy nie kłócili się o kupienie wsi lub kamienicy.

IV.

Donoszą z Londynu telegrafem, że tam spadło tak wiele gradu, że spekulanci kazali napakować wszystkie spichrze, i sprzedają za bezcen. Ktoby zatém życzył nabyć tego produktu, może się zgłosić do głównego kantoru.

V.

W zagranicznych gazetach piszą, że w Paryżu na powszechne żądanie i dla dobra ludzkości, wydano rozkaz krawcom damskim i magazynierkom, aby od każdéj sukni droższéj na 100 franków był pobierany podatek

na ubogich w stosunku procentu 10 od sta, a od każdéj krynoliny po franku.

VI.

W Warszawie w jednéj cukierni wyglądała oknem piękna, młoda, ale rozdąsana żona stojącego przed sklepem cukiernika. Jeden z dowcipnisiów przechodząc, zapytuje się tegoż, wskazując na wspomnioną damę: „Czy ten towar także do sprzedania?“ A on na to: „Przepraszam bo u mnie sprzedają się cukierki słodkie, a nie kwaśne.“

VII.

Ponieważ w Kurjerze Warszawskim zabrakło miejsca dla natłoku dawniejszych zaległych ogłoszeń, zatem proszono pacjenta filozofii, aby następujący artykuł w Ramotkach był ogłoszony:

„ Z powodu że mój sklep od trzech kwartałów stoi pustkami, a bojąc się aby szczury i myszy bezpłatnie nie zajmowali takowego mieszkania, po dobréj rozwadze z ceny komornianéj dotychczasowéj rs. 600 rocznie,

zmniejszam do rs. 200. Ktoby zatem z panów procederzystów, lub kupców chciał go wynająć, raczy mieć wzgląd na moje krytyczne położenie, i jak najspiesznièj zgłosić się pod N. 7598, przy ulicy Słodkiéj, do właściciela.



PODRÓŻ PANI KUKASIŃSKIÉJ.

Mąż — Któż to po drabinie do powozu wchodzi?
Żona — Jnaczéj wleść niemogę, cóż to komu szkodzi.